

*Andrzej Fiebig*

## MUSZYNA WIDZIANA Z SUCHEJ GÓRY

W „Almanachu Muszyny” z roku 2001 ukazały się wspomnienia mojej mamy, Janiny Peszkowskiej-Fiebig, o związkach rodziny Peszkowskich z Muszyną<sup>1</sup>. Po kilku latach i ja postanowiłem powspominać pobyty w tym pięknym miasteczku na Sądeckczyźnie.

Od pierwszego numeru „Almanachu Muszyny” jestem jego wiernym czytelnikiem. Znajduję w nim wiele opisów dotyczących miejsc, osób, faktów, które znam z opowiadań lub których byłem świadkiem, goszcząc w przeszłości często w miejscu, gdzie Szczawnik i Muszynka wpadają do Popradu. Moje lata szczenięce przypadły na okres, w którym skazani byliśmy na życie w ustroju „powszechnej szczęśliwości”. Mimo to dla dziecka były to miesiące beztroskich zabaw; choć pamiętam też rozmowy dorosłych, pełne zakłopotania sprawami dnia codziennego, albo troski o to, czy ówczesne władze nie odbiorą rodzinnej willi – „Naszego Domku” na Zapopradziu.

Po raz pierwszy przywiozła mnie do Muszyny moja mama latem 1950 roku, kiedy miałem pół roku. Po czterech latach dołączył do nas brat – Sławek. I od tej pory do końca lat 60. ubiegłego wieku corocznie miesiące letnie spędzałem w willi położonej na stoku Suchej Góry. W okresie studiów zaglądałem tu rzadziej, ale kiedy założyłem rodzinę, z żoną Anną i córką Małgorzatą przyjeżdżaliśmy ponownie co roku. Teraz znowu niestety bywam nad Popradem co kilka lat.

Początkowo przyjeżdżaliśmy z Żerkowa, małego miasteczka położonego w Wielkopolsce, gdzie wówczas mieszkaliśmy. Wyjazd do Muszyny był dla nas, dzieci, wielkim przeżyciem. W pierwszych latach musieliśmy zabierać kołdry, poduszki, pościel, gdyż „ktoś” bez zgody właścicieli „pożyczył” sobie część wyposażenia domu, którego nigdy nie oddał. Tak więc pakowaliśmy wszystko do wielkich (jak mi się wówczas wydawało) kosza i kufra, które wysyłane były jako osobny bagaż. A myśmy pociągiem przemierzali pół Polski. Jak przez mgłę przypominam sobie, że któregoś roku (lata 50.) z Krakowa do Tarnowa jechaliśmy pociągiem, który składał się z wagonów towarowych, z ustawionymi wewnątrz drewnianymi ławkami. Od Bobowej, serpentynami, wciągała nas głośno sapiąca lokomotywa do Ptaszkowej i odtąd znajdowaliśmy się wreszcie w Beskidzie Sądeckim. Po przejechaniu tunelu w Żegiestowie nie mogliśmy doczekać się pierwszego widoku naszego domu z Milika; aż wreszcie, kiedy pociąg znajdował się na wysokości Domu Ociemniałych, po drugiej stronie Popradu, na zboczu Suchej Góry w całej krasie pokazywał się „Nasz Domek”. A z okien werandy byliśmy witani machaniem prześcieradłami. Z dworca doróżka (pan Buszek), a w późniejszych latach taksówka (początkowo były dwie, my zamawialiśmy nr 1), wiozła nas przez drewniany most na Popradzie.

<sup>1</sup> Janina Peszkowska-Fiebig, *Historia związku rodziny Peszkowskich z Muszyną*, „Almanach Muszyny” 2001, s. 177–179.

Starą drogą obsadzoną jarzębiną, a w latach późniejszych – nową, asfaltową, dojeżdżaliśmy do Starych Łazienek, nad którymi stała nasza willa. Pierwsze łyki wody mineralnej... Jeszcze tylko wejście z walizkami do góry i byliśmy! Dom witał nas niezapomnianym zapachem drewna modrzewiowego, z którego jest zbudowany, i starym patefonem w jadalni z olbrzymią tubą (wtedy można było na nim jeszcze słuchać płyt).

„Nasz Domek” w miesiącach letnich zapelniał się wczasowiczami; w lipcu pokoje były wynajmowane gościom, a w sierpniu zjeżdżała przede wszystkim rodzina. Dopóki nie została wykopana przy domu studnia, problemem było dostarczanie wody. Trzeba ją było nosić wiadrami, przy pomocy drewnianych nosideł, albo od pani Śliwowej, albo od pana Wójcika. Do dzisiaj kuzyn, Andrzej Fusek, niemile wspomina swoją rolę nosiciela wody. Co sobie trudno teraz wyobrazić, w domu nie było łazienki. Natomiast w każdym pokoju stała umywalka, na niej miednica, obok dzbanek z wodą, a w umywalce było wiadro na brudną wodę. Mieszkańcy przynosili sobie wodę z piwnicy, w której stała beczka. Problem też stanowiło pranie pościeli. Odbywało się ono ręcznie, a do płukania nosiło się pościel do czystego wówczas Popradu. Na początku lat 60. na naszej parceli została wykopana studnia. Ale w okresach suszy brakowało w niej wody i trzeba było wracać do noszenia jej od sąsiadów. Zaś w fakcie wysychania studni znajdowaliśmy potwierdzenie dla słuszności nazwy „Sucha Góra”. Po kilkunastu latach dom podłączony został do miejskiego wodociągu i problem związany z dostarczaniem wody został, pomijając przejściowe trudności, rozwiązany. A w domu pojawiły się łazienki.



Sucha Góra – drugi dom od lewej to willa „Nasz Domek” (1961 r.)

Poważnym kłopotem w czasach panowania „przodującej klasy” była aprowizacja. Humorystyczne dziś wydają się trudności z dostaniem papieru toaletowego. Ale zakup mięsa, chleba, cukru, nabiału – też stwarzał niemały kłopot. Wieczorami odbywało się, pod przewodnictwem siostry naszej mamy, Marii Fusek, ustalanie menu na dzień następny.

Co ostatecznie znalazło się następnego dnia na stole, zależało i tak od tego, co udało się kupić w sklepach. Rano pierwszy szedł do miasta wujek Roman (Roman Gutkowski) i zajmował kolejkę w sklepie mięsny, jarzynowy, w piekarni Turskiego (wspaniałe rogaliki, solanki, świderki), w mleczarni, a także do kiosku pana Jurkowskiego z owocami w Rynku, do „sklepu Bukowskiego”. Istniało wówczas też targowisko, na którym można było kupić czarne jagody, poziomki, grzyby. Potem dochodziła ciocia lub, o ile była w Muszynie, nasza mama, dokonywane były zakupy, i – objuczeni jak wielbłądy – wracali na Zapopradzie. Początkowo dłuższą, starą drogą wysadzaną jarzębiną. Aż któregoś roku – po nowej drodze poprowadzonej u podnóża Suchej Góry. Młodzież wyglądała z okien werandy i kiedy „dostawcy” pokazali się na zakręcie zbiegała, żeby pomóc wnieść zakupy do góry.

Dużym problemem było zaopatrzenie pełnego gości domu w czasie powodzi latem 1958 roku. Drewniany most został porwany przez wezbrane wody Popradu. Nie było innego wyjścia, jak maszerować górami na Folwark, przejść przez zachowany most kolejowy (drogowy – drewniany – też został zniszczony) i dojść do Rynku, po czym znowu tą samą trasą wracać. W tym trudnym czasie „tragarzami” byli nasz ojciec, Adolf Fiebig, wspomniany wujek Roman i brat mamy – Sławek Peszkowski. A widok z domu był przerażający – woda sięgająca do Starych Łazienek, płynące porwane drzewa, krowy, owce. Pamiętam dom rodziny Hopejów, bardzo uszkodzony (nie było wałów); oni sami schronili się z dobytkiem u Matki Bożej, na górcie nad domem.



Powódź w Muszynie –  
początek lat 60. XX w.



Powódź w Muszynie –  
początek lat 60. XX w. Nowy most  
w budowie

W mleko zaopatrywaliśmy się u państwa Gruczelaków. Można było iść nieco krótszą drogą, „dołem” – koło „Nałęczówki” i „Mimozy” (teraz „Boruta”), lub w ramach spaceru przez Suchą Górę. Przynosiliśmy nieraz po 10 litrów mleka. Kiedy podrosłem, chodziłem czasem po mleko sam lub prowadziłem „drużynę” młodzieży. Frajdą było podpijanie mleka z bańki. A na zakończenie „sezonu mlekowego” byliśmy częstowani przez panią Gruczelakową garnkiem wyśmienitego bobu. Bywały lata, że pomagaliśmy tym gospodarzom zwozić siano spod Wielkiej Polany. Dla mnie, mieszkańca nizin, trud, jakiego wymagało powożenie wozem pełnym siana, często ciągnionym przez krowy po stromych zboczach, wzbudzał uznanie i podziw. A czasem i przerażenie.

W pamięci utkwiło mi zdarzenie z lat 50. ubiegłego wieku, przed przełomem październikowym. Kiedy szliśmy „dołem”, oczywiście jeszcze wtedy ze starszymi, z lasu wyszli WOP-iści z bronią (teren przygraniczny!). Po wytłumaczeniu, że idziemy tylko po mleko, mogliśmy kontynuować nasz spacer. Jednakże fakt ten wywarł na mnie tak wielkie wrażenie, że przez kilka miesięcy budziłem się w nocy przerażony.

Wieczorami, po kolacji, towarzystwo siadało w słabo oświetlonej jadalni (prąd z Krynicy nie pozwalał dobrze oświetlać pomieszczeń). Była to pora na śpiewy, czasami Dziadziu zagrał na skrzypcach, starsi opowiadali – m.in. o działaniach burmistrza Jurczaka na rzecz stworzenia uzdrowiska Muszyna, o regulacji przez Dziadzia Popradu, o doktorze Mściwujewskim, o państwie Hetperach, o pozostawionym przez Dziadków w Stanisławowie dorobku życia, utraconym po wejściu Sowietów 17.09.1939 r., o biedowaniu rodziny pozbawionej środków do życia w czasie wojny, o wymianie parkietu z jeszcze niedokończonego domu na mąkę, o powrotach mojej mamy pieszo – w czasie wojny – z pracy w aptece pana Nitribitta w Krynicy i spotkaniu własowców, o pani Żegiestowskiej ze Złockiego, która przed wojną przychodziła pomagać w prowadzeniu pensjonatu, a po wojnie przybiegła z płaczem pożegnać się przed wysiedleniem w ramach Akcji Wisła, o wyprawach narciarskich na Jaworzynę. W latach późniejszych zakup telewizora zmienił sposób spędzania wieczorów.

Dla chłopców, wychowanych na lekturze *Lokomotywy* Tuwima, możliwość oglądania jeżdżących po drugiej stronie Popradu pociągów pobudzała bardzo wyobraźnię. Każdy z nas miał swoją lokomotywę. Tak więc była lokomotywa moja, mojego brata Sławka, Maćka i Wojtka (synów Romana Peszkowskiego), Romka (Gutkowskiego – juniora), Piotrka (Gutkowskiego). Często liczyliśmy wagony towarowe – czasami parowóz zniknął za zakrętem w kierunku Milika, a jeszcze nie było widać ostatniego wagonu od strony Muszyny. Zauważaliśmy też różnorodność wagonów osobowych. Krótkie wagony, z przejściami między nimi „pod chmurką”, jeździły do Tarnowa i Nowego Sącza, „pulmany” kursowały do Krakowa. Później weszły do użytku „cegielszczaki”. Kiedy powstała linia do Jasła, zaczęły jeździć wagony beczkowate, jakie znałem dotychczas z Wielkopolski, nazywane przez nas pruskimi. Pewnego roku ciocia (Krystyna Peszkowska) wyprosiła u maszynisty możliwość wejścia do lokomotywy. Cóż to było za przeżycie! Czerwone koła, spływająca tłusta oliwa, buchający z brzucha lokomotywy ogień...

W niedziele odbywała się wyprawa na mszę św. do kościoła parafialnego św. Józefa. Przed reformą liturgii na Vaticanum II, spędzający w Muszynie urlopy księża – podczas

trwania mszy przy głównym ołtarzu – odprawiali ciche msze przy ołtarzach bocznych. Czasem uczestniczyliśmy w takiej cichej mszy, celebrowanej przez odpoczywającego corocznie w „Naszym Domku” księdza Edwarda Broszkiewicza z Krakowa, przyjaciela rodziny (w roku 1970 odwiedził go przebywający w Muszynie kardynał Karol Wojtyła). Po reformie liturgii odbywały się msze już tylko przy ołtarzu głównym, w miarę potrzeby koncelebrowane przez kilku kapłanów. Kilka lat po śmierci Kazimierza Peszkowskiego, w roku 1961 uczestniczyłem w przekazaniu jego Krzyża Zasługi jako votum dla Pani Muszyńskiej. Przez kilka lat potrafiłem go odnaleźć wśród wiszących darów dziękczynnych.

W czasie powrotu do domu z kościoła obowiązkowo zatrzymywaliśmy się w „Szarotce”. Pamiętam smak kremówek, „muchomorków” i lodów z tej pierwszej, małej, ciasnej kawiarenki, na rogu ulic Piłsudskiego i Ogrodowej.



Widok z góry na Stare Łazienki (początek lat 60. XX w.)

Z racji położenia naszej willi nad Starymi Łazienkami, bywaliśmy ich częstymi gośćmi. Niemalże każde przejście koło nich było pretekstem do napicia się wody. Do obowiązków młodzieży należało też przynoszenie do domu wody w butelkach, która po parudziesięciu minutach – nie tracąc smaku – mętniała. Łazienki składały się z dwóch połączonych ze sobą drewnianych pawilonów – jeden przeznaczony był dla kąpieli mineralnych, drugi dla zabiegów borowinowych. Między nimi uwijały się panie kąpielowe (m.in. pani Biedroniowa), obsługując kuracjuszy, którzy przychodzili pieszo, bądź przyjeżdżali dorożką lub taksówką. A po zabiegach obowiązkowy był odpoczynek na ławeczkach, w pięknie utrzymanym ogrodzie. Można też było popijać wodę mineralną, która kiedyś nalewana była z dwóch kranów – źródeł „Wanda” i „Antoni”. Były lata, że wodę można było podgrzewać w specjalnych miedzianych wannach. A nad łazienkami górował charakterystyczny drewniany szyb. Drugi taki sam stał bliżej Popradu i od niego doprowadzana była jedna z wód. Jako chłopcy zaglądaliśmy do kotłowni, gdzie palacz grzał wodę do zabiegów. W latach późniejszych szyby zostały rozebrane, likwidacji uległy

też niestety Stare Łazienki. Przez wiele lat z murowanego budynku, który zastąpił szyb, wyciekała bez przerwy woda mineralna. Tak samo smaczna, tylko żal było, że bogactwo naturalne tak się marnotrawi. Na szczęście kilka lat temu wybudowana została nowa pijalnia i odtworzony ogródek. I tak, jak przed laty, znowu spacerują tam kuracjusze w celu napicia się „kwaśnej wody”. Moim pacjentom w Gdańsku zalecam picie wód muszyńskich, mając własne doświadczenia i przekonanie co do ich wartości.

Korzystaliliśmy z uroków plażowania nad Popradem i kąpieli w czystej wodzie. Brzeg rzeki nie był tak zarośnięty krzewami. Plaża rozciągała się praktycznie od mostu, a kończyła poniżej „Boruty”. Kuracjusze z Muszyny przychodzili z własnymi leżakami, kocami. W połowie lat 50. na plaży pojawił się fotograf z wypchanym łosiem i robił zdjęcia plażowiczom. Później, kiedy usypano wały, plażowicze przenieśli się w okolice nowego mostu lub nad Szczawnik. Myśmy pozostali wierni naszym starym miejscom poniżej „Boruty”, czasem tylko z małymi dziećmi szliśmy nad Szczawnik.



Łoś nad Popradem. Autor drugi od prawej (1954 r.)

W czasie pobytu w „Naszym Domku” dorośli zajęci byli pracami przy domu, dzieci natomiast całymi dniami bawiły się obok. Kiedy padało, mieliśmy dużo miejsca we wnętrzu. Czasami byliśmy zapraszani na różne gry do willi „Promień” (obecnie „Ustronie”), sąsiadującej z naszą, a należącej do rodziny Bochenków. Wbiegaliśmy oczywiście na Suchą Górę, skąd można było obserwować przejazd pociągów od Milika do stacji w Muszynie, a po zmianie lokomotywy dalej do Krynicy, a także przetaczanie wagonów towarowych, które przyjeżdżały z Czechosłowacji. Obowiązkowe było wejście na Górę Zamkową. Ten zwyczaj podtrzymuję do dziś, żeby popatrzeć na miasto, ale także zobaczyć postępujące prace archeologiczne.

Czasem w drodze z miasta przysiadaliśmy na widocznych wtedy betonowych fundamentach muszli koncertowej nad Popradem i nasza mama opowiadała o odbywających się w niej niegdyś koncertach orkiestry zdrojowej.

Chodziliśmy też na Wielką Polanę. Kiedy wdrapywaliśmy się tam w roku 1968, po inwazji na Czechosłowację, z krzaków pod granicą wyszło dwóch WOP-istów, żądając natychmiastowego zejścia na dół. Ścieżka spacerowa w kierunku granicy kończyła się płotem z drutu kolczastego.

Dłuższe spacerowałyśmy górami na Folwark, Wapienne. Organizowane były też wycieczki na Jaworzynę, Pustą Wielką. Wtedy, jeszcze zgodnie z tradycją przedwojenną, wszyscy domownicy zdolni do całodziennego marszu, zarówno dzieci, jak i dorośli, razem szli w góry. Wychodząc na wycieczkę, pytaliśmy pana Hipolita z PIHM-u o pogodę na cały dzień. Kiedyś szlak prowadzący na Jaworzynę skręcał na rozwidleniu dróg w kierunku Złockiego; przekraczało się potok i dochodziło do cerkwi. Spoglądając wstecz, widziało się unoszącą się jeszcze nad doliną Szczawnika mgłę, podczas gdy pod cerkiewką już przygrzewało słońce. Krótki odpoczynek w cieniu lip, modlitwa do świętych patrzących z ikonostasu w pachnącej kadzidłami świątyni, i zanurzaliśmy się w las na stokach Jaworzyny. Na szczycie, wśród zapachu przesuszonej trawy zjadaliśmy przygotowany w domu pyszny muszyński chleb. A potem herbata w starym drewnianym schronisku i zejście. Po drodze Diabelski Kamień, na który my, chłopcy, wchodziliśmy – teraz niestety stoi podparty drągami. Z Czarnego Potoku jeszcze wejście na Krzyżową, skąd ukazywała się Krynica. Obowiązkowe napięcie się wody w starej drewnianej pijalni i powrót pociągiem Muszyny.

Wycieczka na Pustą wiązała się z długim męczącym marszem szosą do Szczawnika. Schodziliśmy stromym zejściem do Żegiestowa-Zdroju. Na dole, w pijalni, rozkoszowaliśmy się smakiem orzeźwiającej wody mineralnej ze źródła „Anna”. Trzy lata temu powtórzyłem z moją córką Małgorzatą marszrutę z Muszyny do Żegiestowa. Zastaliśmy smutny widok zabitej deskami pijalni, zaniedbane dojście, opuszczony, niszczący Dom Zdrojowy.

Rzadziej organizowaliśmy wycieczki przez Łabowską Halę do Piwnicznej Zdroju, do Muszynki przez Malnik, Dubne i Okopy Konfederatów Barskich (szlak omijał kiedyś Wojkową). Wykańczał nas męczący marsz szutrową drogą z Muszynki do Krynicy, ponieważ jeszcze nie dojeżdżały tam autobusy.

W tym miejscu nie mogę oprzeć się pewnej konstatacji. Dawno temu turysta czuł się na szlakach gościem przyrody, starając się nie zakłócać jej spokoju. Później pojawiły się głośno grające radia tranzystorowe i papiery; obecnie radia zostały zastąpione urządzeniami na słuchawki, za to wzdłuż ścieżek zalegają butelki i torby plastikowe, puszki po piwie. Zanika też zwyczaj pozdrawiania każdego napotkanego na szlaku. A Jaworzyna? Już nie znajdziesz, turysto, na szczycie ciszy, w której mógłbyś chłonąć piękno Beskidu Sądeckiego, zakłóconej jedynie przez brzęczenie owadów. Znaki czasu?

Do Krynicy wybieraliśmy się też specjalnie, jeden lub dwa razy podczas letniego sezonu. W latach 50. i 60. jeszcze czuło się tutaj tradycje przedwojenne. Kuracjusze

po obiedzie spacerowali po deptaku, w muszli orkiestra zdrojowa grała utwory kompozytorów wiedeńskich. Można było spotkać Nikifora siedzącego na murku, znanych aktorów. Niestety w kurorcie zaczęto budować nowoczesne – jak na owe czasy – domy wczasowe i ich goście wnieśli inne zwyczaje wypoczyniania. Na deptaku zrobiło się głośno. Pod koniec naszego pobytu w Krynicy wstępowaliśmy na lody, najczęściej do kawiarni Orbisu.

Jako student medycyny latem 1970 roku załatwiłem sobie możliwość odbycia praktyki wakacyjnej w szpitalu w Krynicy. Przyjechałem z Gdańska, gdzie już wtedy mieszkaliśmy, i przez 4 tygodnie lipca rowerem dojeżdżałem, żeby w krynickim szpitalu uczyć się zawodu lekarza. W pamięci utkwił mi szczególnie dr Reško, ordynator Oddziału Chirurgicznego, który soczystą polszczyzną egzekwował dyscyplinę, tak w czasie zabiegów operacyjnych, jak i na Oddziale.

W tym czasie zapłaciłem pierwszy mandat. Którego dnia wracałem rowerem o zmroku, bez świateł, i w Powroźniku zatrzymał mnie młody wówczas milicjant (późniejszy komendant komisariatu w Muszynie). Na szczęście potraktował studenta „po ludzku” – dał 50% rabatu.

Do Muszyny jeździliśmy w miesiącach letnich. W roku 1973 zdecydowaliśmy się spędzić tam święta Bożego Narodzenia, razem z siostrą mamy, Marią Fusek (byłą nauczycielką w gimnazjum muszyńskim), i rodziną jej córki Barbary Starnawskiej. Niestety po drodze ciocia zginęła w wypadku samochodowym pod Brzeskiem. Były to smutne święta. A po nich trzeba było zorganizować pogrzeb. I tu przytrafiła się tragikomiczna (z perspektywy ponad 30 lat) sytuacja. Otóż nie znając miejscowych uwarunkowań, opłaciliśmy panów, którzy mieli przenieść trumnę z kościoła na cmentarz przed tą smutną uroczystością. Oni jednak natychmiast zrobili użytek z otrzymanych pieniędzy. Nie wiedząc o tym, czekaliśmy w świątyni. Kiedy w końcu okazało się, że panowie nie są w stanie dojść, nie pozostało nic innego mężczyznom z rodziny, jak wziąć trumnę na plecy i pełnić rolę grabarzy.

Po krótszym lub dłuższym pobycie następował kres letnich uciech i powstawał problem wyjazdu z Muszyny. Ponieważ kiedyś jeździło się głównie koleją, pociągi były przepełnione, szczególnie pod koniec wakacji. Tak więc jedna grupa wyjeżdżających kilka godzin przed planowanym odjazdem udawała się do Krynicy i zajmowała miejsca w pociągu, natomiast druga grupa kończyła pakowanie w domu i przyjeżdżała z bagażami dorożką, bądź – w późniejszych latach – taksówką na dworzec muszyński. W „Domku” obowiązywał zwyczaj, że opuszczających Muszynę gości żegnało się machaniem przesieradłami bądź ręcznikami z okien werandy, odjeżdżający natomiast odwzajemniali się, machając z okien pociągu, zazwyczaj chusteczkami. Bywało, że ostatnich wyjeżdżających żegnała machaniem pani Litwowa, która przez kilka lat mieszkała z rodziną w domu, ale bywały lata, że nikt nam nie machał i wtedy żegnały nas pozamykane, smutne okna opuszczonego „Naszego Domku”.

Każdy, kto mniej lub bardziej jest związany z Muszyną, nosi w pamięci jakieś swoje wspomnienia, które – zebrane w mniejszą lub większą całość – oddają atmosferę, koloryt



miasta. Kiedy przyjeżdżam teraz co kilka lat, widzę, jak miasto się zmienia. Być może uda mi się w tym roku przyjechać ponownie do Muszyny, pospacerować znajomymi uliczkami, wejść na Zamkową i powspominać cudowne przeżyte tu chwile.



Willa „Nasz Domek” (2005 r.).  
Wszystkie fotografie w artykule z albumu rodzinnego autora

### ***Od redakcji***

Autor jest lekarzem. Mieszka w Gdańsku. Spędził w Muszynie około 40 wakacyjnych miesięcy (w przeliczeniu – 3,5 roku).